Ner 18. Kraków, dnia 16go Września 1875. Rok VII.

# WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

**Kalendarz.**

| | |
|---|---|
| 16. C. Ludmiłły m. | 20. P. Eustachiusza b. |
| 17. P. Such. Piętna ś. Fr. | 21. W. Mateusza ap. |
| 18. S. Such. Józefa z Kop. | 22. Ś. Maurycego b. |
| 19. N. Januarego. | 23. C. 8ekli p. m. |

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica św. Jana Kącik Ner 320.

## O płacy robotnika.

*Czeladnik.* Prosiłem was, panie Majstrze, o podwyższenie mi płacy, bo wszystkie środki do życia zdrożały; a kiedyście mi odmówili, a nawet zapowiedzieli, że mi jeszcze płacę zniżycie, to już nie mam co u was popasać; zbieram manatki i odchodzę.

*Majster.* Przykro mi, żem ci musiał odmówić, ale nie mogłem inaczéj! bo w miarę jak wzmaga drożyzna, zmniejsza się także i mój dochód. Każdy usiłuje ograniczać się w potrzebach swoich, a nawet i na tém, co koniecznie dla siebie zamówić musi, chciałby jeszcze coś utargować.

*Czeladnik.* Niech sobie chce! ale wy nie powinniście spuszczać z ceny. Owszem, kiedy wszystko zdrożało, powinniście żądać więcéj i przy tém obstać.

*Majster.* Tego nie mogę uczynić, bobym się wkrótce naraził na to, że nie dawanoby mi nic do roboty, i możebym nie zarobił na kawałek chleba nawet dla siebie samego.

*Czeladnik.* Tego ja nie pojmuję!

*Majster.* Łatwo ci to wytłumaczę, mój kochany! Cena wyrobów zależy nie wyłącznie od wartości pracy około niéj podjętéj, lecz głównie od liczby tych, którzy ten wyrób na sprzedaż mają. Im więcéj takich którzy swój wyrób na targ wystawiają, tém więcéj ubiega się każdy o sprzedanie swego wyrobu, i dlatego daje go taniéj.

*Czeladnik.* To prawda! ale przecież zdrożenie ogólne nie pociąga jeszcze za sobą pomnożenia liczby robotników i ich wyrobów; jeżeli więc ilość jednych i drugich pozostaje ta sama, to można podnieść również cenę pracy, skoro wszystkie potrzeby do życia zdrożały.

*Majster.* Ale za to mniéj znów jest takich co za wyroby płacą; bo z powodu zdrożenia potrzeb do życia każdy się w takowych ogranicza daje rzemieślnikom mniéj do roboty niż pierwéj. W miarę więc zmniejszenia się popytu o robotę, robota mniéj odchodzi, a w następstwie tego, liczba robotników i ich wyrobów, która pozostanie taką samą jak pierwéj, okaże się *za wielką*, targ będzie przepełnioy, powstanie dążność do pozbywania gotowego towaru, a przez to cena jego spadnie. Gdybym więc nie stosował się do tych okoliczności, ale żądał więcéj za mój towar, tobym odstręczył od siebie wszystkich kupujących i zostałbym wkońcu bez roboty. — Z tego powodu nie mogę wam płacy podwyższyć w tym krytycznym czasie, a nawet muszę ją zmniejszyć; bo inaczéj wyszedłbym jeszcze gorzéj.

*Czeladnik.* Pojmuję teraz, żem sobie mylnie tę rzecz wyobrażał, i widzę że głową muru nie przebije, tylko że się trzeba zastosować do tych krytycznych okoliczności. Dlatego przystaję na mniejszą płacę, i nie wymagam żeby mi się dobrze a nawet lepiéj działo, podczas gdy wszystkim się gorzéj powodzi.... Jednakże zdaje mi się, że po słuszności moglibyście się z nami, waszymi pomocnikami, podzielić choć tylko częścią czystego zysku, jaki rokrocznie macie.

*Majster.* Ten zysk jest bardzo niepewny, mój przyjacielu, i dla samego niebezpieczeństwa na które jestem narażony, powinien do mnie należeć.

*Czeladnik.* Nie pojmuję, o jakiém niebezpieczeństwie mówicie?

*Majster.* Jak będziesz kiedyś sam majstrem, to poznasz dopiero wszystkie kłopoty tego położenia. Wiesz dobrze, jak regularnie wypłacam wam zarobek co tydzień; daję wikt i mieszkanie. Wszystko to wymaga zasobu grosza z trudem zaoszczędzonego, słowem kapitału. Jak zaś z jednéj strony wydatki na waszą zapłatę, na materyał jakiego do roboty potrzedujemy, itp. są stałe, muszą być regularne i bez nich się nie obejdzie; tak znowu dochód mój bardzo jest niepewny, bo u niejednego z kupujących przepadnie mi należytość; drugi zapłaci, ale dopiero późniéj; na innym tracę sam kapitał, na tym znów procenta jakiebym mógł mieć z zapłaconych wcześniéj pieniędzy; często nawet i to się zdarza, że chociaż nie mam zupełnie odbytu na mój towar, każę go jednak wyrabiać, aby robota nie ustawała i aby wam, moim pomocnikom dać ciągły zarobek. W każdym takim przypadku wy jesteście *pewni* swego zarobku, a ja jestem z moim kapitałem w niebezpieczeństwie, które czasem jest tak znaczne, że w kilku miesiącach mogę utracić wszystko com przez lata z trudem zaoszczędził.

*Czeladnik.* Prawda to wszystko; ale mimo owych niebezpieczeństw, doszliście przecież do zamożności, a to z pomocą rąk waszéj pracowitéj czeladzi; moglibyście więc i o niéj trochę pamiętać.

*Majster.* Powiedziałem ci już, że moja zamożność podobna jest do gry w loteryą, w któréj łatwo można swą stawkę przegrać; e jeżeli mnie dotychczas nie spotkało to, czego doznało wielu innych, to łatwo jeszcze spotkać może. Nie zazdrośćcie mi przeto tego tak niepewnego szczęścia, bo wszakże mi nie zwrócicie nic ze swego zarobku, choćbym wam przy końcu roku i największą wykazał stratę!... Ilużto już majstrów straciło cały swój majątek, gdy przeciwnie ich czeladź o zaoszczędzonym u nich groszu przyszła do znacznego mienia. Zważ też i to, mój kochany, że mam w obrocie większą wprawę i zdolność jak wy wszyscy; żem na to potrzebował dłuższego czasu, łożył niemało zabiegów i starań, pilności i pracy, zanimem sobie ustalił wziętość, zarobił na poczciwe imię, i pozyskał względy tych, którzy mi robotę dają; tak, że tylko przy większym kapitale i znacznéj liczbie znajomych trzymających się mojego warsztatu potrafię was tylu moich pomocników utrzymać i jakitaki byt wam zapewnić. Czyliż więc nie zasługuję na większy jak wasz zarobek? czyliż nie należy mi się dochód od moich z wielkim mazołem zaoszczędzonych pieniędzy, to jest kapitału, który w moje przedsiębiorstwo włożyłem?...

*Czeladnik.* Dobrze mówicie, panie Majstrze. Uznaję, że gdy my pomocnicy pewnymi zawsze jesteśmy naszego zarobku, wy obawiać się musicie o uzyskanie ceny za wyroby pracy i narażeni jesteście na straty; a choćbyście największe ponieśli, my nic wam z naszego zarobku nie zwrócimy; przeto słusznie należy wam się cały zysk z waszego przedsiębiorstwa. Ale tego może nam nie będziecie mieli za złe, że i my pragnęlibyśmy dojść kiedyś do własnego warsztatu.

*Majster.* Najsłuszniejsze życzenie wasze, i przyjdziecie do tego pilnością i oszczędnością. Jesteś młody, masz zdrowie i siły, możesz więc dzielnie pracować. Radzę ci nadto, żebyś wolne od pracy chwile poświęcał ile możności na nabywanie coraz lepszych wiadomości w twoim zawodzie; a jeżeli tak jak dotąd z zarobku twojego — chociażbyś tam i odłożył czasem parę groszy na przyzwoitą zabawę z towarzyszami, bo lampartki nie lubisz — będziesz oszczędzał, to z łatwością przy pomocy nabytych wiadomości. doświadczenia i zasobu grosza, rozpoczniesz na siebie rzemiosło, które się tobie poszczęścić może; będzie ci sprzyjało błogosławieństwo Boskie tak jak mnie, obejdziesz się bez cudzéj pomocy i nie będziesz zazdrościł nikomu uczciwie zapracowanego zysku, tak jak ja niczyjego nie pożądałem.

*Czeladnik.* Pozostańmy więc z sobą, panie Majstrze, i nadal! Pragnę wam szczerze pracować i pomagać do przetrwania tych ciężkich czasów, jak tego przykazanie miłości bliźniego wymaga. Będę się starał być jeszcze pilniejszym i pracowitszym niż dotąd, aby tym sposobem dojść do upragnionego celu, który jest mojém marzeniem; ale będę na to czekał cierpliwie i bez szemrania, gdyż to jest pewna, że osiągnięcie lepszego bytu wymaga czasu i pilności człowieka.

## Wjazd Ossolińskiego do Rzymu.

Z łatwością, kochani czytelnicy pojmiecie, jakieto bogactwo było w dawnéj Polsce, jeżeli przeczytacie ten krótki opis wspaniałego obrazu, który wszystkich tamże obecnych w niezmierne wprawił zdumienie.

Przez króla Władysława IV wysłany został Ossoliński do Rzymu w interesach kościelnych,

a mianowicie dla uproszenia papieża, aby się wdał w porozumienie stanów duchownego ze świeckim. — Poczet Ossolińskiego składał się z osób najznakomitszych; wszyscy bowiem byli synami najpierwszych panów polskich, a jechali bogato i strojno przybrani. Liczba całego poselstwa wraz ze sługami wynosiła 300 osób, mnóstwo koni wierzchowych i kilkadziesiąt kosztownych karet.

Ossoliński po drodze jak najgrzeczniéj był przyjmowany przez panów włoskich, którzy wyjeżdżali naprzeciw niemu. Zbliżając się do Rzymu, zastał w pewnéni miasteczku karety kardynałów, krewnych papieża; czekali tam na niego z powitaniem sekretarze różnych panów włoskich i zagranicznych posłów. Tymczasem coraz więcej przybywało powozów, tak dalece że wkrótce naliczono ich 160.

W takim tedy tłumie wjechał Ossoliński do Rzymu; ale to jeszcze nie był jego wjazd publiczny. Wypocząwszy, dopiero w niedzielę adwentową w południe wsiadł na konia i wjazd następującym porządkiem rozpoczął:

Najprzód na czele orszaku jechało dwóch furyerów Ossolińskiego, po polsku, w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych koniach.

Za nimi szły 22 wozy suknem karmazynowém pokryte, na którémto suknie herby Ossolińskiego były wyszyte.

Nastąpiło potém 10 wielbłądów ze srebrnemi dzwonkami na szyjach, w jedwabném złocistém okryciu; prowadzili je Persowie.

Po tych jechało czterech trębaczy konno, po polsku przystrojonych w zielone aksamitne suknie z pętlicami złotemi; za nimi szła straż przyboczna Ossolińskiego z 34 ludzi złożona; konie pod nimi dzielne; oni zaś w sukniach jedwabnych złotem przeszywanych, uzbrojeni w bogate fuzye i pistolety, a pióra białe mieli u czapek.

Tu dopiero następowała chorągiew papiezka ze swymi trębaczami, z saméj szlachty złożona; po niéj dworscy kardynałów, którzy mieli na znak przypięty na ramieniu kardynalski kapelusz.

Niedaleko od nich jechało pokojowych Ossolińskiego 30 na dzielnych koniach w rzędach srebrnych; wszyscy w suknie polskie z aksamitu ubrani.

Poprzedzał ich giermek posła, Chociszewski, starzec poważny, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem Persów strzałę w ręku trzymający; miał on do siodła przypięte skrzydła. Suknie na nim były złotem, perłami i drogiemi kamieniami tak bogato ozdobione, że wszystkich oczy na siebie zwracały.

Za pokojowymi po persku ubrani masztalerze prowadzili 5 koni najdzielniejszych tureckich. Na każdym rzęd i siedzenie drogiemi kamieniami aż na podziw ozdobione; na jednym mianowicie koniu siodło było samemi dyamentami okryte, a na czole konia sztuka z klejnotów tak bogata, że ją szacowano 10,000 dukatów. Ale najwięcéj wszystkich dziwiło to, że u tych koni podkowy były ze złota, a niektóre umyślnie tak słabo przybite, żeby mogły odpadać; jakoż dwie na dwoje złamane odpadły i dostały się pospólstwu.

Za tymi jadący koniuszy z buławą srebrną prowadził 20 bogato ubranych dworzan poselskich, przy złotych karabelach.

Tuż za nimi jechało 16 dworzan posła hiszpańskiego, oraz wielka liczba kardynalskich i innych panów krewnych.

Daléj jechało 20 przedniejszych dworzan polskich, z ogromnym przepychem ustrojonych, którym przodował Jakób Zieliński, marszałek dworu, z buławą srebrną w ręku.

Po bokach jego jechali dwaj kawalerowie.

Tuż za nimi z licznym pocztem Francuzów postępował książę Ryszmond, posła francuskiego krewny, a za nim dworzanie papiezcy.

Nastąpili po nich różni panięta polscy; jedni umyślnie do Rzymu przybyli, drudzy już dawniéj tam będąc, siebie i ludzi swoich ofiarowali na usługę posłowi. Z tych jechał najprzód Komorowski, kanonik krakowski, i trzej bracia Naruszewicze. Po nich Wężyk, prymasa synowiec; Korwia, siostrzeniec Ossolińskiego, w bogatéj szubie sobolami podbitéj i klejnotami ozdobionéj; tudzież wielu innych znakomitych Polaków, a każdy z nich miał dwóch kawalerów rzymskich po bokach idących.

Wszystkich jednak ciekawość na siebie najwięcéj ściągał Ćwikliński, sekretarz królewski. Ten na dzielnym arabskim koniu jadąc, niepojętéj szybkości czynił obroty, tak dalece że łańcuch złoty do munsztuka przypięty koń na drobne kawałki poszarpał i pospólstwu na łup rozrzucił. Niemniéj podziwienia sprawiała i suknia jego, pętlicami z klejnotów ozdobioną.

Po nich jechali Zebrzydowski, Tarnowski, Potocki, Firlejowie, Lubomirski i wielu innych z wielkim przepychem przystrojonych panów. Najbardziéj jednak drogością szat celowali Mikołaj Ossoliński, Grudziński i Daniłowicz.

Przy samym pośle jechali dwaj arcybiskupi, a po bokach szło 30 piechoty polskiéj z guzami

i piórami srebrnemi. — Poseł Ossoliński miał na sobie złotem haftowane suknie, i tak przy żupanie jak przy wierzchnéj szacie było po 20 guzów sporych, każdy z jednego dyamentu; po 20 pętlic dyamentowych, karabela złota i klejnotami suto wysadzona, na 20,000 złotych polskich szacowana. Siedział na dzielnym tureckim rumaku, który miał podkowy złote, na głowie pióro czarne, a przy uszach czuby dyamentami przeplatane; całe siedzenie, a nawet strzemiona były klejnotami wysadzane.

Tak pięknemu widokowi dodawała wiele ozdoby osoba samego posła; był bowiem jednym z najpiękniejszych mężczyzn, siedział na koniu szykownie, z twarzą łagodną i okazującą wielką wdzięczność ludowi, który go witał okrzykiem „Wiwat!".

Otóż, moi kochani czytelnicy, takiego bogactwa niewidzieli jak tylko istnieli Rzymianie; zaimponował im poseł polski do tego stopnia, że wszyscy z całym szacunkiem o Polsce wspominali U nas takie okazałości często się zdarzały; jak np. za czasów Kazimierza Wielkiego, kiedyto Mikołaj Wierzynek złotem panów obdarował i wszystkich tém w zdumienie wprawił.

Przy zdarzonéj chwili opowiem wam także o weselu Jana Zamojskiego za króla Stefana Batorego.

*Bolesławicz.*

## Święta Kunegunda.

Tradycya wielkich charakterów niewieścich, pełnéj wdzięku i namaszczenia wyższéj cnoty chrześciańskiéj niewiast polskich, zawiązuje się już w odległych wiekach historyi. Poważne matrony, które czerpały siłę do życia w gorącéj pobożności, a gardząc wszelką próżnością, były gorliwemi córkami kościoła, wzorowemi żonami, matkami i obywatelkami kraju, gotowemi zawsze do poświęceń dla Stwórcy, ojczyzny i biednych; które mienie swoje obracały na pobożne, naukowe i dobroczynne fundacye, na wsparcie dla ubogich i maluczkich, zdobiły zawsze dziejowe polskiéj ziemi karty. — W szeregu zasłużonych ludzkości imion niewiast polskich — pierwsze, rzec można, a nadto opromienione niezgasłym wieńcem religijnéj świętości — to imię Kunegundy, królowéj polskiéj.

Córka króla węgierskiego Beli IV i Maryi, cesarzówny greckiéj, maleńką jeszcze będąc dzieciną, okazywała wielkie znaki przyszłéj świętobliwości. Jako niemowlę jeszcze, przynoszona wraz z innemi dziećmi królewskiemi do kościoła na mszą świętą, nie zdarzyło się, iżby kiedy zapłakała lub w inny sposób dziecięcą okazała niecierpliwość; tylko składając drobniuchne rączki, rzewne ku niebu wznosiła oczęta. Podróśłszy nieco, uczęszczała pilnie do kaplicy, wszystkie wolne spędzając tam godziny.

Dwanaście lat życia zbiegły jéj jak jedno tchnienie niczém niezakłóconéj modlitwy. Wówczas to Koloman książę halicki, jéj stryj, z żoną swoją Salomeą przyjechał do Węgier. Księżna tak sobie upodobała małą Kunegundę, iż zapragnęła koniecznie dać ją za małżonkę młodziuchnemu swemu brutu Bolesławowi, królowi polskiemu. Uzyskawszy zezwolenie rodziców, Salomea uwiadomiła o tém brata swego; jakoż najmożniejsi panowie wyjechali zaraz w poselstwie do Węgier prosić króla o rękę córki jego Kingi dla swego monarchy. Wkrótce wrócili posły z za gór karpackich, wioząc z sobą oblubienicę piętnastoletnią, smukłą i pełną wdzięków. Przybywszy do Krakowa, przyjęta z uniesieniem przez naród, połączoną została ślubem małżeńskim z Bolesławem, który wychowany również w bogobojności, młodziuchną małżonkę oddał pod opiekę swojéj matki. Z tém nowém położeniem godziła się Kunegunda ochotnie i w szczeréj pokorze, choć często przychodziło jéj znosić niezasłużone gromienie swéj świekry; niezrażona atoli niczém, poprzestawała na téj uldze, jaką przynosiło jéj częste odwiedzanie kościoła, ustawiczne trwanie w uczynkach miłosiernych i umartwieniach ciała.

Nie będziem tu wyliczali tych prób ostrych i bolesnych któremi Kunegunda trapiła niewinne, dziewicze ciało swoje, aby w nienaruszonéj czystości zachować serce i duszę. Przytoczymy tylko tę walkę, najtrudniejszą, jaką z natchnienia Boskiego wypowiedziała sama sobie i swemu nowemu położeniu; walkę między dziewicą a żoną — że użyjemy słów ks. Antoniewicza — walkę z własném sercem, niemogącém bez boleści patrzeć na boleść serca Bolesława, który wszelkiemi sposobami usiłował odwieść ją od tego postanowienia, powziętego nie z płochości lub uporu, lecz ze szczególniejszego — jakeśmy rzekli — natchnienia Boskiego. Kunegunda kochała Bolesława tą uroczą miłością dziewiczego serca i ze łzami błagała go zawsze o podobną wzajemną miłość, znosząc w pokorze gniew i zapalczywość jego. Walczyć musiała Kunegunda z sercem własném, z sercem męża, z całym dworem królewskim, z całym narodem, który od niéj spodziewał się mieć następcę ulubionego

króla swego. W szesnastéj wiośnie życia, piękna jak ta gwiazda zaranna, co wschodzi na niebie, wystawiona na wszystkie pociski ludzkiéj potwarzy; jak ta śnieżnych piór gołębica w pieśni nad pieśniami, co w szczelinie muru szuka dla siebie schronienia — kryje się zatrwożona, zbolała, ale niezachwiana w swojém postanowieniu: w sercu oblubieńca, któremu wieczną zaprzysięgła wierność, wycisnąwszy głęboko znamię zbawienia; uzbraja się do walki cierpliwością i pokorą, modlitwą, jałmużną i umartwieniem. O, wy nocy ciemne i mroźne, wyście były nieraz świadkami, jak pod tajemniczą zasłoną waszą Kunegunda, opuszczając bogate komnaty żamku w Korczynie, bosemi nogami spieszyła do kościoła, przed którego zamkniętemi drzwiami po kilka godzin, klęcząc, na modlitwie spędzała. I wicher północny unosił w dalekie strony gorącego jéj serca westchnienia, a łzy obfite jak drogie perły lodem ścięte, toczyły się po twardych kamieniach kościelnego progu! Tu ona oddawała pod opiekę Oblubieńca niebieskiego drogi skarb swego dziewictwa, kwiat niewinności swojéj.

Potężna królowa, jaśniejąca pięknością i dobrocią, wchodziła nieraz pod niskie strzechy chatek i szałasów góralskich, aby sercem i ręką nieść pomoc cierpiącym. I ta, co nie chciała zostać matką wedle praw przyrody, została matką wedla praw miłości ewanielicznéj. Ilu było biednych i cierpiących w kraju, tyle dzieci liczyła Kunegunda. Ubogie wieśniaków chaty, szpitale, przybytki nędzy i boleści ludzkiéj, były świadkami jéj miłosiernego serca; żadna, najzaraźliwsza choroba nie przeraziła jéj, od żadnéj nędzy, nieszczęścia i boleści nie stroniła. Chata góralska była dla niéj pałacem królewskim, ława jodłowa umiłowanym chwały jéj tronem; posługiwać chorym, obmywać rany trądem obsypanych, najtrudniejsze wszystkim czynić wysługi, było to najmilszą tych rąk królewskich zabawą. Pamiętała zawsze owe słowa Zbawiciela: „Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.“ W każdym ubogim widziała, szanowała i kochała Kunegunda Pana swego i Zbawcę ubogiego i wzgardzonego. Miłość téż i wdzięczność ku niéj wzrosła u ludu z pokolenia w pokolenie. Do naszych jeszcze czasów w całéj Sandeczyznie mnogie podania ludowe odnoszą się do świętéj Kunegundy. Tutaj (wedle uroczych tradycyjnych opowieści prostaczków), uciekając przed Mongołami, pozostawiła ślad swój na skale; gdzieindziéj, w okolicy pozbawionéj wody, zatknęła w ziemię kij swój pielgrzymi, i wytrysło źródło, z którego cichym szmerem przez suche przedtém pola toczy się strumień płynący w falę Dunajcą. W téj stronie na stroméj i przez jednę tylko wązką ścieżkę dostępnéj skale wznosił się zamek, przez Bolesława Wstydliwego na schronienie przed Mongołami zbudowany, do którego się Kunegunda w czasie niebezpieczeństwa chroniła. W tych téż podaniach należy szukać początku znanéj powieści, wedle któréj gdy ojciec darował jéj jednę z kopalń solnych węgierskich, Kunegunda zdjąć miała pierścień z palca i takowy wrzucić w głąb kopalni; gdy potém odkryto pokłady solne w Wieliczce, w pierwszéj bryle soli znaleziono ową złotą królowéj obrączkę.

Ale idźmy za biegiem świętobliwych jéj czynów. Dekoracye wysokiego stanowiska nie miały dla niéj powabu; wyrzeka się dobrowolnie użycia dostatków, zabaw, wygód, uciech i strojów, zachowując jednak przyzwoitość odpowiednią swojemu stanowi. Karmi zgłodniałych, a sama morzy się postem; prześladowana staje mężnie w obronie prześladowanych; gardząc wszelką chwałą, pracuje gorliwie nad rozszerzeniem chwały Boga i czci Jego wybranych. Za jéj to staraniem i nakładem odbyła się w roku 1263 za papieża Innocentego IV kanonizacya św. Stanisława ze Szczepanowa, biskupa krakowskiego. Kości męczennika wydobyte, własnemi rękami obmywała wraz z biskupem Prokopem. Gorliwie czuwała nad sprawiedliwością w całym kraju, bo lud polski był drogim jéj sercu. Tęskniąc do ojczyzny niebieskiéj, kochała ojczyznę doczesną najczulszą, najtkliwszą miłością.

Przez trzy lata trwałą owa tak dziwna walka Kunegundy o dziewictwo. Zwyciężyła nakoniec wszystko i wobec zgromadzonego rycerstwa i senatu wspólnie z Bolesławem, który odtąd nosił przydomek Wstydliwego, uczyniła uroczysty ślub czystości przed Prandotą biskupem krakowskim.

Wiodąc ten bogobojny żywot, serce Kunegundy biło i żyło tylko w Bogu i dla Boga, tylko w bliźnim i dla bliźniego. Lecz o tém nigdy nie zapominała, że zostawszy oblubienicą Chrystusa, stała się oraz oblubienicą krzyża, i dlatego ćwiczyła się we wszystkich umartwieniach duszy i ciała. Widok krucyfiksu był tym mieczem boleści, który przeszywał jéj serce. Gdy wszyscy dworzanie i zamkowi mieszkańcy na miękkich łożach słodkiego używali spoczynku, z komnaty królowéj Kunegundy przejrzystemi szybami przebijał się blady odblask lampy

nocnéj, jakoby zwiastun Polakom, że królowa i matka ich modli się i czuwa nad całym krajem. Takto Kunegunda bezsenne na modlitwie spędzała nocy, a jeżeli na kilka chwil chciała omdlałe siły ożywić i pokrzepić do nowych umartwień, twarda podłoga była jéj posłaniem. Wina i mięsa nigdy nie używała, a ostra włosiennica jakby wrosła w jéj ciało.

Przeżywszy takiém życiem cierpienia, miłości i miłosierdzia czterdzieści lat na jednym z najpotężniejszych tronów świata, ujrzała Kunegunda zbliżającą się chwilę, w któréj tron królewski i świat z natchnienia Boskiego miała pożegnać na zawsze, aby przejść poza ciemne mury ubogiego klasztorku świętéj Klary. Wśród licznego orszaku pogrzebowego króla wyróżniały się dwie niewiasty, przyodziane w grube habity córek św. Klary: to Kunegunda i Jolanta. Kunegunda, dziewica i wdowa, ze skrwawioném ale spokojném i woli Boga oddaném sercem oddaje ostatnią posługę towarzyszowi pielgrzymstwa swego. Zimny grób przyjmuje w ciemną noc swoją zwłoki zmarłego króla; Kunegunda składa na nim ostatecznie swe berło i koronę. Napróżno błaga ją naród, senat i rycerstwo, aby objęła rządy kraju; z równém męstwem jak pokorą odpowiada ona: „Byłam królową waszą, dziś zostałam służebnicą Chrystusową; byłam panią waszą, odtąd będę poddanką króla waszego; byłam opiekunką i matką waszą, i tą nigdy być nie przestanę. Zagrzebana w murach klasztornych, modlić się będę za wami; błagać i prosić będę Boga, aby błogosławić raczył i radom waszym i orężom waszym i pługom waszym; aby to imię Polaka, straszne dla wszystkich wrogów Boga i ojczyzny, było błogosławieństwem dla wszystkich niewinnie prześladowanych; aby to imię Polaka, cnotą i chwałą napiętnowane, po całym rozbrzmiało świecie; aby cześć Boga i Bogarodzicy zakwitła wśród was i w głębi serc waszych; aby jedność, zgoda, miłość i porządek panowały wszędzie i zawsze, i w sercach waszych i w domach waszych, po grodach i wioskach, po zamkach i lepiankach waszych! Żegnam was, ale na czas krótki; nie odstępujcie od Boga, a zbierzemy się wszyscy w téj drugiéj, wiecznéj ojczyźnie, w domu naszego Ojca.“ — Jakoż założywszy w Starym Sączu klasztor i uposażywszy go dostatnio, przekroczyła na zawsze jego furtę. Drogie szaty, klejnoty, złoto, perły i srebra rozdała na potrzeby kraju i ludu; nic dla siebie nie zostawiła, nic z pamiątek przeszłości nie wniosła w ciche mury klasztoru, jak tylko krzyż Chrystusowy głęboko wyciśnięty na sercu. Raz jeszcze oko jéj spojrzało na ten świat, podniosła rękę i krzyża znakiem pobłogosławiła drogą ziemię, westchnęła i ucichły wszystkie wzruszone w duszy jéj burze; błogi uśmiech przeleciał jak promień słoneczny oblicze i rozpogodzona przestąpiła progi klasztorne. — Tu nowy zawód życia dla niéj się rozpoczynał. Nie przyszła ona, aby się uczyć; ale przyszła, aby nauczać świętobliwości; doskonałą była na świecie, doskonalszą jeszcze została w zakonie. Spojrzyjmy z uszanowaniem i podziwem na tę królową mniszkę. Ciasna, uboga izdebka stała się jéj pomieszkaniem; jedyna jéj żądza, to żądza naśladowania Zbawiciela miłującego i cierpiącego. Ta, któréj rozkazów słuchał kraj cały, stała się najposłuszniejszą rozkazom swoich siòstr zakonnych; jéj życie klasztorne to przykład, do jakiego stopnia doskonałości Bóg wywyższyć może człowieka, który Go miłuje z całego serca, a bliźniego swego jak siebie samego. Kunegunda im więcéj cierpi, tém więcéj cierpieć pragnie; im więcéj kocha, tém więcéj kochać żąda. I sprawiedliwie mogła zawołać z Pawłem świętym: „Żyję już nie ja, ale żyje Chrystus we mnie!“

Bóg, który tak dziwnemi drogami prowadził Kunegundę, chciał ją oczyścić jak złoto w ogniu; chciał, aby wychyliła kielich goryczy aż do dna. Potwarz i obmowa wkrada się w zacisze klasztorne, bo niéma nic tak świętego i czystego, czegoby źli ludzie językiem potwarczym nie splámili. Wzywa na pomoc Boga; ale Bóg — zda się — nie spieszy, aby ją dźwignąć; serce jéj cierniami rozdarte stało się jak ta „ziemia bez wody“. Ale tak opuszczona przez Boga i ludzi Kunegunda Bogu ufać i ludzi kochać nie przestaje. I Bóg, wypróbowawszy pokorną służebnicę swoją, sam stanął w jéj obronie, bo cudem objawił niewinność spotwarzonéj.

Madszedł nakoniec dzień, w którym oblubienica miała się połączyć z Oblubieńcem swoim i przyjąć od Niego wieniec chwały. Na twardém łożu w ubogiéj celi Kunegunda bolesną złożona chorobą oczekuje téj chwili tak gorąco upragnionéj. Błogosławiąc płaczące siostry świętéj Klary, ostatnie zbawienne daje im rady i napomnienia. Zachęca do wiernego w świętém powołaniu wytrwania, do miłości i bojaźni Boskiéj, do pokory i cierpliwości w znoszeniu krzyża Chrystusowego. Do celi wszedł kapłan z przenajświętszym Sakramentem; zasilona tym chlebem niebieskim, rozrzewniona miłosnym zapałem, modli się Kunegunda, i prosi, aby siostry odstąpiły trochę od jéj łoża, a zapytana o przyczynę, odpowiada: „Czyż nie widzicie świętego Ojca serafickiego, który zstąpił z nieba, chcąc być świadkiem konania mego?“ To wyrzekłszy, serdecznym zawołała głosem: „Ojcze, w ręce twoje oddaję ducha mojego!“ poczém usnęła snem wiecznym. Pamięć jéj wszakże żyć będzie wiecznie w kościele Chrystusowym, żyje w sercach wszystkich prawych Polaków i Polek, jako pamięć matki i opiekunki ich przodków za ziemi, a dziś matki i opiekunki w niebie. Żaden czas nie zatrze imienia dobréj królowéj Kingi w pamięci mieszkańców Sącza i rozkosznych brzegów Dunajca i Popradu i tego uczciwegoludu gór karpackich, i tych wszystkich okolic, które były widownią jéj cnót, przedmiotem jéj troskliwéj miłości. Duch jéj opiekuńczy unosi się nad temi górami, nad zwaliskami zamku na Pioninach, gdzie królowa przed napaścią Mongoło-Tatarów kryła się z siostrami swemi.

Święta Kunegunda urodzona w roku 1224, umarła dnia 24 lipca 1292 r., a w poczet Świętych policzoną została przez papieża Aleksandra VIII.

# WIENIEC KRAKOWIAKÓW.

Napisał

**Bolesławicz.**

## I.

Matuś mnie chowała na dobrego człeka:
Uczyła, jak kłamstwa omijać z daleka.
Jéj piosenki rzewne do snu kołysały
I ze snu codziennie raźno mnie witały.

Nie słyszałem nigdy bolesnego słowa,
Jeno samą miłość, co się w sercu chowa.
Usta méj matusi do mnie uśmiechnięte
Tłumaczyły nieraz stare „Pismo święte".

Oj, taka téż miłość w domu królowała,
Że dzieloną była okruszyna mała —
Jagódka, cukierek, kwiateczek i trawka,
Lub téż jakakolwiek dziecięca zabawka.

Ja byłem najmłodszy, a czworo nas było:
Trzech braci i siostra. Wszystko rosło miło,
Wszystko się kochało, jakby w jakim raju,
A wszystko śpiewało, jak słowiki w maju.

Siostra wyszła za mąż, gdy nadeszły lata;
Więc ją pożegnała rodzicielska chata —
Pożegnali bracia, życząc pomyślności,
A matuś na drogę dała krzyż... świętości.

Późniéj brat najstarszy rzucił nasze grono,
Bo się ślubem złączył z swoją ulubioną;
Ale zawsze z nami rozkosznie przebywał,
I śmiał się serdecznie, i częstokroć śpiewał.

II.

Kiedy ze mnie wyrósł parobeczek chybki,
I kiedy już miałem swoje własne skrzypki,
Chciałem tedy ludziom śpiewać pieśni tkliwe,
Więc prosiłem matki o rady życzliwe.

„Cóż ja ci mam radzić? toć me rady znane;
Kiedy chcesz iść w światy, idź dziecię kochane!
Może się twe serce w szczęsną chwilę budzi,
I swoją piosenką może poznasz ludzi.

„Śpiewaj tylko sercem i prostaczą nutą
Piosenkę poczciwą skromnością osnutą,
A przejdziesz z łatwością po téj świata kuli...
Lecz pamiętaj zawsze o swojéj matuli."

Pożegnałem tedy doliny i kwiaty,
I poszedłem sobie z piosenką we światy;
A chociaż mi było markotno, opacznie,
Szedłem przecież chyżo, gorąco, rozpacznie!

I zaszedłem w miasto, gdzie jest Wawel stary;
Na nim piękne wieże i głośne zegary,
Zkąd dzwon Zygmuntowski srebrnym głosem dzwoni,
I gdzie grób wspaniały przodków naszych chroni.

III.

Płynął srebrny księżyc nad wawelską wieżą,
Kędy naszych królów kości w trumnach leżą;
Płynął on i mówił przeczystym promieniem,
Że chociaż pomarli, żyć będą wspomnieniem.

Bo są tacy ludzie, co znają ich czyny
I spisują wszystkie... mój Boże jedyny!
Opisują Mieszka, co bałwany spalił;
Bo przejrzawszy sercem... więc Chrystusa chwalił.

I króla Chrobrego, jak wrogów uśmierza,
Jak w kijowską bramę mieczem swym uderza,
Aż się miecz wyszczerbił, chociaż był ze stali,
Więc go odtąd *szczerbcem* Polacy nazwali.

Dla chłopków najmiléj Kazimierz jaśnieje,
Bo ojcem był dla nich, jak wskazują dzieje.
Prześliczne kościoły i szkoły fundował,
A jego poddany to złotem częstował.

Oj! czasy kochane, czy wrócicie kiedy?
I czy nas wyrwiecie z niewolniczéj biedy?
Czy wrócą Jagiełły... Zygmuntowskie pany,
Batorzy, Sobiescy i zacne hetmany?!

# Co słychać w świecie?

**Galicya.** — Ze spraw naszych najważniejszą jest wiadomość, że rząd przedłożył wszystkim sądom znany wniosek, zrobiony w Sejmie przez ks. Stępka o lichwie, do zaopiniowania, jakie w tym względzie jest zdanie sędziów: Czy ograniczenie lichwy byłoby skutecznym środkiem do podniesienia dobrobytu, i czy ta ustawa jest możebną lub nie.

# Rozmaitości.

— Czytamy w „Czasie": W wychodzącéj w Wiedniu „Statistische Monats-Schrift" wydawanéj przez centralną komisyą statystyczną, podane są szczegóły o cholerze w Galicyi w r. 1873, które dowodzą jak ciężką wówczas klęskę poniósł nasz kraj w skutek zarazy. Okazuje się ztąd, że cholera grasuje w krajach austryackich stale od roku 1866, głównie jednak nawiedzając Galicyą. W roku 1872 na 21,263 zmarłych w Austryi na cholerę przypada na naszą prowincyą 19,667 ofiar. Nigdy jednak nie było silniejszéj zarazy jak r. 1873, w którym zmarło w Galicyi na cholerę 93,308 osób, czyli prawie 16 na 1000 ludności. W innych krajach austryackich zmarło wszystkiego 15,700 osób, a na 1000 ludności w jednéj Austryi dolnéj przypada 3, a w Tryjeście $2^1/_2$ zmarłych na cholerę, gdy w innych prowincyach przypada jeden zmarły na cholerę na 2000, 3000 10,000 a nawet więcéj mieszkańców.

Klęska w r. 1873 była dotkliwszą od wszystkich poprzednich, gdyż nawet w roku 1855 cholera zabrała tylko 73,854 ofiary, a porównanie téj absolutnéj cyfry z ilością mieszkańców nie może być tak dokładne, żeby się na nie stanowczo spuścić można; gdyż przy rzadkich spisach i przy braku dorocznych obliczań wzrostu ludności nie można otrzymywać zupełnie pewnych rezultatów.

Jeżeli ta ogromna śmiertelność 16 ludzi na 1000 sama przez się jest przerażającą, to w 34 powiatach czyli w połowie kraju spotykamy o wiele gorszy stosunek. Zpomiędzy nich w 8 umarło 17—20 mieszkańców z 1000 na cholerę, w 11 powiatach 20—30 z 1000 ludności, w 6 do 40 ludzi z 1000 mieszkańców, a w 4 do 50 ludzi. W 5 pozostałych zaraza przybrała najgroźniejszy charakter; i tak w powiecie stryjskim umarło 65 ludzi z 1000 na cholerę, w powiecie rohatyńskim 69,

w nowosądeckim 90, w dolińskim 102, á w drohobyckim wreszcie 109 czyli 11 pct ludności. Powiat krakowski należał do najbardziéj dotkniętych, gdyż idzie zaraz po tych pięciu z ogólną cyfrą zmarłych na cholerę 1406, co czyni 50 na 1000 czyli 5 pct całéj ludności. W mieście Krakowie, pomimo dowozu do szpitali chorych z okolicy i 1397 zmarłych, na 1000 ludności wypada 28 zmarłych na cholerę, czyli blisko 3 pct ludności.

Cholera zatém w roku 1873 w niektórych powiatach literalnie zdziesiątkowała nam ludność, a w całym kraju zabrała z każdéj setki mieszkańców niemal dwie osoby. Jeżeli zaś porównamy liczbę urodzin i śmierci, okaże się że w roku 1873 przybyło ludności 245,027, umarło zaś 309,019, a zatém ludność Galicyi w ciągu tego roku zmniejszyła się o 63,992 mieszkańców, czyli dużo więcéj jak o 1 pct.

Cholera w roku 1873 zawleczoną została do Galicyi z Węgier, gdzie grasowała głównie w północnych komitatach przylegających do Galicyi, a przecież nie była tam tak srogą jak w naszéj prowincyi. Najsilniejsza zaraza okazała się u nas w powiatach do których prowadzą przejścia przez Karpaty, najwygodniéj łączące nas z Węgrami. Daléj zaś po kraju szerzyła się cholera z biegiem rzek Dunajca, Sanu, Dniestru i Stryja, tracac na sile w miarę oddalania się od punktu wyjścia.

— Z rozpraw statystycznych o zakonach duchownych kościoła katolickiego obrządku łacińskiego w królestwach i krajach reprezentowanych w radzie państwa, a więc z wykluczeniem Węgier, wyjmujemy następujące ciekawe szczegóły:

W roku 1875 było w całéj Przedlitawii ogółem 25 męskich zakonów duchownych, które posiadały razem klasztorów 451, księży 4433, kleryków 642, a laików 1405. Do tego doliczyć jeszcze należy kleryków 159 i nowicyuszów 71. W roku 1830 było w téj połowie monarchii tylko 396 klasztorów; wzrosła więc liczba ich o 55. Przez przyłączenie terytoryum krakowskiego przybyło 17 klasztorów męskich. Z 451 klasztorów męskich obecnie istniejących przypada 50 na Austryą niższą, 19 na Austryą wyższą, 7 na Salzburg, 31 na Styryą, po 6 na Karyntyą i Krainę, 19 na Wybrzeże, 60 na Tyrol i Vorarlberg, 79 na Czechy, 30 na Morawę, 6 na Szląsk, 76 na Galicyą, 62 na Dalmacyą.

W całéj Przedlitawii było w roku 1875 ogółem 26 żeńskich zakonów, które posiadały razem 493 klasztorów (łącznie z filiami), 5379 sióstr, 560 nowicyj i 633 młodszych nowicyj. W roku 1830 było ogółem 73 klasztorów żeńskich; liczba ich wzrosła więc od tego czasu o 420. Z powyższéj liczby klasztorów żeńskich przypada 58 na Austryą niższą, 45 na Austryą wyższą, 5 na Salzburg, 11 na Styryą, 7 na Karyntyą, 3 na Krainę, 8 na Wybrzeże, 34 na Tyrol i Vorarlberg, 96 na Czechy, 26 na Morawę, 17 na Galicyą i 12 na Dalmacyą, nie licząc w to filij.

## SZARADY.

1.

Pierwsze czwarte drugie trzecie
W alfabecie je znajdziecie.
Czwartéj trzeciéj zły się boi,
Całość w nazwach ziemskich stoi.

2.

Pierwsze drugie jest cierpliwe,
Ttrzecie czwarte zaś złośliwe.
Pierwsze czwarte Polak miewa,
Wszystko z rozrywki używa.

3.

Jeśli mnie wprost czytasz, nakrycie uczynię;
A gdy wspak odwrócisz, drewniane naczynie.

## Przypowieści króla Salomona.

**„Słuchajcie, synowie! ćwiczenia ojcowskiego, a pilnujcie, abyście umieli roztropność.**

**„Ścieżką niepobożnych nie chodź, a nie udawaj się drogą złośliwych.**

**„Droga niezbożników jest jako ciemność; nie wiedzą o co się otrącić mogą.“** (IV, 1. 14. 19.)

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 9·00 do 11·25, podolska od 8·50 do 10·75, żółta od 8·50 do 11·00, czerwona od 9·00 do 11·25 — żyto polskie od 6·00 do 7·25, podolskie i rosyjskie od 5·75 do 7·00, jęczmień 6·00 do 7·00, groch od 7·50 do 9·50, owies od 4·00 do do 4·25, rzepak od 11·00 do 11·50.

## OD REDAKCYI.

☞ Pracując od lat siedmiu wytrwale i znaczne poczyniwszy z własnych funduszów nakłady, mamy prawo wzywać ogół do pomocy w téj uciążliwéj a tak pożytecznéj pracy krzewienia oświaty pomiędzy ludem. Przez wzgląd na wydatki, które każdy gospodarz z wiosną i podczas żniwa ponosić musiał, nie nalegaliśmy o uiszczenie przedpłaty; lecz teraz, gdy każdy już jest przy groszu, prosimy wspomnieć, że wydawnictwo pociąga za sobą znaczne koszta i że takowe zaraz płacić trzeba. Zmuszeni zatém jesteśmy zwrócić się do Szan. Publiczności, prosząc o pomoc materyalną — o odnowienie równie jak uiszczenie zaległéj prenumeraty. Kilka guldenów, wydanych na prenumerowanie pism naszych, nie zuboży nikogo a nas wyrwie z przykrego położenia.



Wydawca: S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny: Jan Krawecki.

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.